

Szlak nieśmiertelności

Kamil Exner



Kamil Exner

Szlak
nieśmiertelności

© Copyright by Kamil Exner & e-bookowo

Projekt okładki: Marcelina Gajda

Redakcja: Marta Marecka-Butkiewicz

Korekta: Marta Bluszcz

ISBN e-book: 978-83-8166-389-2

ISBN druk: 978-83-8166-390-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2023

*Można wybrać nieśmiertelność
albo można wybrać człowieczeństwo.*

Sir Terry Pratchett, *Muzyka duszy*, przeł. Piotr W. Cholewa

Prolog

Bitu, odźwierny Podziemia, przybył do domu swojej pani Ereszkigal i rzekł: „Pani, na zewnątrz stoi samotna dziewczyna. To Inanna, twoja siostra, która przybyła do pałacu Ganzer. Dobija się z wściekłością do wrót Podziemia. Krzyczy ze złością wedle wierzei. Porzuciła E-ana i zstąpiła do Podziemia.

(...)

Usłyszawszy to, Ereszkigal uderzyła się w udo. Przygryzła wargę, biorąc te słowa do serca. Rzekła do Bitu, odźwiernego: „Chodź, Bitu, a miej baczenie na moje polecenie. Zarygluj siedem bram Podziemia. Następnie otwieraj bramy Ganzeru osobno, jedna po drugiej. Co do niej, kiedy wejdzie i padnie na kolana, zostanie odarta z szat, te zostaną jej zabrane”.

(...)

I Inanna weszła poniżona i odarta z szat, a te zostały jej zabrane. Wówczas Ereszkigal podniosła się z tronu, a Inanna usiadła. Anuna, siedmioro sędziów, wydało wyrok przeciw niej. Spojrzeli na nią, a było to wejrzenie śmierci. Przemówili do niej, a była to mowa gniewu. Krzyknęli, a był to krzyk pełen przewiny. Umęczona, została obrócona w zwłoki. A zwłoki powieszono na haku.

*Zstąpienie Inanny do Podziemi,
94-101; 114-122; 164-172**

* Cytaty ze „Zstąpienia Inanny do Świata Podziemi” i innych tekstów źródłowych na podstawie *The Electronic Text Corpus of Sumerian Literature*, University of Oxford, 2003-2006. Z angielskiego przełożył autor.

Życie powróciło do Inanny niespodziewanie. Pierwszy oddech, gwałtowny jak u noworodka, wyrwał ją z ciemności. Czucie powracało do ciała. Aksamitną nicość zastąpił szorstki splot zbutwiałego całunu ocierającego się o skórę. Wargi oblepiała mieszanina miodu, mirry i aloesu. Odrętwienie rozchodziło się promieniście po rękach przybandażowanych ściśle do tułowia. Ale ból oznaczał, że znów żyła.

Jej umysł odzyskiwał świadomość otoczenia. Nie leżała, jak jej się przez chwilę wydawało, ale wisiała głową w dół, niczym upolowany ptak. Niemal pozbawione krwi nogi rwały się pod ciężarem korpusu, a kostki, oplecione grubymi linami, paliły żywym ogniem. Zmartwychwstawała.

Ciekawe, czy Ninszubur zdołała uciec? Cóż, nawet jeśli, zapewne już zdążyła opuścić Arattę i zapomnieć o swojej pani. Ile właściwie czasu minęło, odkąd Inanna przekroczyła siódmą bramę? Dzień? Tydzień? Eon? Nie miało to większego znaczenia.

– Ninszubur... – wyszeptała, mnąc wargami strzępy przesłaniającego jej twarz całunu. I ku swojemu zaskoczeniu gdzieś z dołu Inanna usłyszała płaczliwą odpowiedź.

– Słucham i jestem posłuszna, Królowo Nieba! – Głos wiernej *sukkal*, namiestniczki Niebiańskiej Pani, odezwał się nieopodal jej głowy.

Wkrótce drobne dłonie chwyciły Inannę, a świat w jej oczach odzyskał właściwe położenie. Ninszubur rozciąła całun i okryła swoją panią własnym płaszczem, zanosząc się donośnym łkaniem.

– Nie płacz, *sukkal*. Nie czas na to – wyszeptała słabym głosem Zmartwychwstała.

– Słucham, pani. – Ninszubur pociągnęła nosem.

– Pomóż mi znaleźć tych, którzy mają moją krew na rękach. Pomóż mi znaleźć Ereszkigal.

– Chyba wiem... – Szmer słów Ninszubur niemal niknął w wyciu wiatru. – Wiem, gdzie się ukryła.

Amelia Geber spojrzała przez kratownicę maski w twarz instruktora. Zamyśliła się, a nieudolnie postawiona zasłona nie zatrzymała uderzenia lecącego w jej kierunku. Treningowe ostrze opadło na przedramię dziewczyny. Syknęła.

– *Ancora una volta!* – krzyknął instruktor, przebijając się przez wypełniający salę szcęk broni, okrzyki i miarowe odgłosy markowanych uderzeń. – Myśl, co robisz!

Amy pokiwała tylko głową i wycofała się do wyjściowej pozycji, zaciskając zęby. Stała w *porta di ferro*, usiłując uspokoić oddech. Byłoby łatwiej, gdyby młody instruktor nie przypominał aż tak Mateusza Żbikowskiego. Tylko spokojnie... Najpierw ręka, potem broń, noga na końcu.

– Aua!

Uderzenie w łokieć, choć lekkie, rozeszło się promienistym bólem po całym przedramieniu. Amelia wypuściła rękojęść miecza, syntetyczna klinga głucho pacnęła o matę.

– Wiesz, co zrobiłaś źle? – spytał Andrea.

– Wystawiłam... – Zawahała się, masując drętwiejący staw. – Wystawiłam łokieć poza linię?

– Wystawiłaś łokieć poza linię – potwierdził, ściągając maskę. – Napij się, a jak ci przejdzie, dołącz do reszty. Zmiana partnera! – polecił pozostałym. Kilkanaście osób zasalutowało bronią i przeszło po kolei do nowych par.

Geber przyłożyła chłodny bidon do przedramienia. Zimno naczynia przyniosło chwilową ulgę, mrowienie ustało. Strzepnęła ręką i wzięła solidny łyk wody, splukując z warg pot ciekący jej spod ciężkiej szermierczej maski.

Oriana chwaliła sobie lekcje z Ateną i Evridaikki, zdawała się czerpać przyjemność z wywijania mieczem, zapasów i rzutów oszczepem. Ale żadna z jej instruktorek nie wyglądała jak Mat. Póki co, Amelia wynosiła z treningów głównie siniaki i zakwasy. Co ją właściwie podkusiło, żeby też uczyć się władania bronią? Umiejętność zupełnie nieprzydatna na co dzień, endorfin niewiele, za to bólu – do wyboru, do koloru. Spojrzała na nabierające żółtego odcienia ślady na przedramieniu i przeklęła pod nosem po polsku.

Odłożyła bidon, włożyła maskę i dołączyła do drobnej dziewczyny, czekającej bez pary na macie. Salut! Uderzenie partnerki, zasłona, odpowiedź po żelazie. Ha! Czyli to jednak nie Amy była do niczego, tylko ten cały Andrea tak na nią działał! Obie powtórzyły ćwiczenie po kilka razy, aż nabrały płynności. Wymiana uderzeń przyspieszała, aż nagle...

– *Basta!* – Zapadła cisza. Andrea końcem klingi wskazał linię, a wszyscy ustawili się na niej, gotowi na wspólny salut. – Dziękuję wszystkim, koniec na dzisiaj. Żegnamy się, potem broń na stojak. I do zobaczenia następnym razem.

Amelia wyszła z sali, w łazience przemyła twarz i dekolt lodowatą wodą. Spojrzała na kolejkę do prysznica i pokręciła głową. Złapała torbę i nie przebierając się, wyszła w duszne, przedwieczne powietrze. Odpięła rower. Do domu miała niecałe dwadzieścia minut, ale w czerwcowym tokańskim upale przejechanie tych pięciu kilometrów z hakiem liczyło się za dodatkowe *cardio*.

Nagrzane po całym dniu powietrze, przesycone zapachem kawy, kociego moczu i wodorostów z Arno, przyklejało prze poczone ubrania do ciała. O ile w tamtą stronę Amy jechała całkiem sprawnie, o tyle teraz wlokła się noga za

nogą, z trudem łapiąc oddech. Drzewa wzdłuż Viale Abramo Lincolni dawały jeszcze złudzenie orzeźwienia, ale gdy park się skończył i musiała wjechać na bulwar ciągnący się wzdłuż pałaców starego miasta, miała wrażenie, jakby znalazła się we wnętrzu piekarnika. Dotarła w końcu do Ponte alla Carraia. Nie zdziwiłaby się, gdyby patrząc w dół z mostu, zobaczyła bąble wrzątku na powierzchni rzeki. Na drugim brzegu przyśpieszyła, lawirując sprawnie między tłoczącymi się w wąskiej Via dei Serragli samochodami. Jeszcze dwa skręty, jeszcze jeden i wreszcie znalazła się pod bramą.

Wprowadziła rower przez nisko sklepioną sień i przypięła go do barierki schodów prowadzących do oficyny. Wspięła się na górę i wreszcie stanęła przed drzwiami odziedziczonego po ojcu mieszkania. Zawiasy skrzypnęły, kiedy pchnęła skrzydło.

W środku wcale nie było chłodniej. Amy zapaliła światło i bez większej nadziei przesunęła włącznik klimatyzacji. Kliknął, ale bez wyraźnego efektu.

– *Merda...* – warknęła pod nosem.

Torbę rzuciła w kąt i przeszła przez kuchnię w stronę łazienki. Jedyna szansa na ochłodzenie czekała pod prysznicem.

Rozebrała się z trudem. Obolałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa, a sportowy stanik zdawał się na stałe przyklejony do spoconej skóry. W końcu, sapiąc i posykując, weszła pod natrysk i odkręciła wodę. Tego jej było trzeba!

Kiedy stanęła przed lustrem, ociekając strużkami wody, jej spojrzenie padło na tatuaż wykonany tuż pod obojczykiem za pomocą Apeironu, chymeicznego eliksiru – klucza do podróży między światami. Wydawał się świecić zielonkawym światłem, jakby został aktywowany. Zamknęła oczy, ale gdy je ponownie otworzyła, wrażenie nie zniknęło. Wciąż patrząc na

własne odbicie, dotknęła opisanego pismem linearnym okręgu, a on rozjarzył się, by chwilę później przyblednąć i zmatowieć. Zmrużyła oczy i dźgnęła się ponownie w mostek. Nic się nie stało. A może jej się przywidziało? Zbyt dużo czasu spędziła na słońcu, dostała udaru albo co? Jeśli nazajutrz nie będzie świecił, to znak, że powinna kupić kapelusz.

Narzuciła za duży podkoszulek Metalliki, którego używała jako piżamy. Przeszła do kuchni. Wyjęła z lodówki spotniałą od rosy butelkę białego wina, wzięła kieliszek i rozsiadła się w fotelu, odpalając tablet do rysowania. Nie dorwała jeszcze stałej pracy, ale bywała to tu, to tam, tatuując jako gościnna artystka w różnych studiach. Teraz znalazła właściwy folder i otworzyła pierwszy z niezrealizowanych szkiców do kart tarota. Mag miał rysy Nereusa Pyrrosa. Amy wiedziała, że jako ukrywający się pod tym nazwiskiem Kronos, powinien raczej reprezentować Świat, ale nie mogła sobie darować tej drobnej uszczypliwości, mimo astrologicznej niekonsekwencji. Ostatecznie nie chodziło o astrologię, tylko o tatuowanie. Wobec astrologii Amelia Geber była dość sceptyczna.

Przerzuciła kilka arkuszy, pomijając Wisielca, wykonanego już na przedramieniu pewnego hiszpańskiego studenta oraz Głupca, zarezerwowanego przez jakąś laskę, która odnalazła Amelię na socjalach i wpłaciła zaliczkę na projekt. Kolejna była Śmierć.

Amy planowała wykonać ją białym lub srebrnym tuszem na skórze pewnego Somalijczyka, kelnerującego w knajpie za rogiem. Widziała już oczami wyobraźni jasny rysunek skrzydlatej postaci z mieczem w jednej ręce, wykłuty na niemal czarnej skórze umięśnionego mężczyzny. Rozmawiała zresztą z tamtym kelnerem, po trosze zainteresowana nim samym, a po

trochę skłonna zrobić naprawdę wiele, by wykonać ten tatuaż. Na razie bezskutecznie, choć spędzili parę przyjemnych wieczorów, okraszonych gorącymi pocałunkami i podlanymi sporą ilością wina, które chłopak wynosił ukradkiem z restauracyjnej kuchni.

Śmierć był mężczyzną, przystojnym i gotycko ponurym. Amy powiększyła rysunek i przyjrzała się jego twarzy. Wielokrotnie widywała tego mężczyznę w snach, a raz, dawno temu, nawet na jawie. Znała na pamięć regularne rysy, czarne, opadające na ramiona włosy i niemal białe palce, zaciskające się na rękojeści miecza. To musiał być sen lub fałszywe wspomnienie. Pokręciła głową.

Otarła czoło. Mimo że mieszkanie znajdowało się od podwórza, to jednak nawet tu upał dawał się we znaki. Pół godziny wystarczyło, by resztki wody zniknęły z jej skóry, zastąpione drobnymi kropelkami potu. Zacisnęła powieki, by zdusić senność. Ujęła palcami rysik i zaczęła uzupełniać detale skrzydeł Śmierci. Słyszała wyraźnie dźwięki dochodzące z ulicy, gwar rozmów w sąsiednich mieszkaniach, grający telewizor. Do odgłosów wkrótce dołączył kolejny – szum morskich fal.

Smoliście czarna tafla falowała ledwie zauważalnie, mimo że wiatr smagający powierzchnię wody był dość silny, unosząc włosy Amelii i szarpiąc krawędź jej domowej koszulki. Amy podniosła wzrok na horyzont, po którym leniwie przesuwali się dwa księżyce. „Eberros!” – pomyślała. „To Eberros, o którym opowiadała mi Oriana! Kurwa, więc jednak zasnęłam!”. Spróbowała wzbić się w powietrze. Udało się! Unosiła się teraz kilkadziesiąt metrów nad dziwnym morzem. W oddali dostrzegła samotną łódź, a na niej dwie postacie: granatowoskórą wojowniczkę oraz niższą od niej niemal o połowę blondynkę o bladej cerze, z rozległą blizną obejmującą cały lewy policzek.

Amelia próbowała zbliżyć się do siostry, zwrócić jej uwagę, ale łódź oddalała się konsekwentnie w stronę horyzontu, a żadna z płynących w niej kobiet nie dostrzegła wytatuowanej, półnagiej dziewczyny unoszącej się nad wodami zatoki.

Sen zmienił się. Morze zniknęło, a Amelię otoczyła gęsta ciemność, rozpraszana jedynie przez delikatne pulsowanie Apeironu między jej piersiami. Przed dziewczyną zapłonęły dwa punkciki, dwoje oczu przypominających czuwające wulkany. Za nimi wyłonił się obrys jasnej twarzy i srebrzystych włosów, a potem ramiona i suknia, jeszcze czarniejsza niż otoczenie.

– Sprowadź swoją siostrę, córko. – Metaliczny szept boleśnie wwiercił się w mózg Amelii. – Obie jesteście mi potrzebne!

Gwałtownie poderwała się z fotela i rozejrzała półprzytomnym wzrokiem. Wciąż była we własnej kuchni, wypełnionej mieszaniną aromatów wina, lawendowego mydła i słodkawej woni starego mieszkania. Zza okna dolatywał dźwięk telewizora, na którym ktoś z sąsiadów oglądał powtórkę meczu. Szumiały pojedyncze samochody, przekrzykiwali się amerykańscy turyści. Gdzieś jęczał bezdomny kot.

Sięgnęła po tablet, który zdążył zsunąć się na podłogę. Otworzyła nowy plik i kilkoma ruchami rysika naszkicowała twarz postaci ze snu. Łudziła się, że to tylko pozbawiony znaczenia majak, ale z doświadczenia wiedziała, że jej sny oraz sny Oriany nieraz okazywały się niepokojąco bliskie prawdy.

Czarne wody Morza Toréllē falowały łagodnie, obmywając stępkę wyciągniętej na piaszczystą plażę łodzi. Światło brzasku

rozbłysło turkusowymi flarami na okuciach masztu i miedzianych zdobieniach relingów. Oriana Geber zmrużyła oczy, wpatrując się w wynurzającą się nad horyzont tarczę Wojownika.

Dwa księżycy – Dziewica i Łowczyni – wciąż jeszcze wisiały na zielonkawym, rozjaśniającym się powoli niebie, rzucając blade, długie cienie, okrywające cały Archipelag Wężownika.

Przez szum fal przebił się szelest piasku. Ora spojrzała przez ramię na Evridaikki. Wojowniczką jeszcze przed chwilą spała przy ognisku, które razem rozpały na plaży, a teraz usiadła i rozglądała się zdezorientowana, nie znajdując kochanki przy swoim boku. Oriana nie poruszyła się. Znów przeniosła wzrok na morze, pozwalając słonawej bryzie odrzeć się z zapachu nocy, z posmaku ciała stratega, który wciąż wyczuwała na wargach.

– Co się dzieje, *erastria*? – Evridaikki zbliżyła się do Ory i wtuliła w płeć dziewczyny, kładąc jej głowę na ramieniu.

– Miałam sen – wyszeptała Geber, ledwo przebijając się przez chłopot fal. – Nie, nie sen. Widzenie. Chyba będziemy musiały przerwać nasze wakacje.

– Sen? – Evridaikki obróciła Oriana w miejscu, by spojrzeć jej w twarz swoimi nieludzkimi, żółtymi oczami. – O kim? Kto jest ważniejszy ode mnie? Od nas? – dodała ciszej.

Oriana milczała chwilę, unikając spojrzenia kochanki, a w końcu wypowiedziała tylko jedno imię:

– Hekate.

– Myślisz, że czegoś od ciebie chce? – Evridaikki pomogła Orianie usiąść i sama przysiadła obok, na lekko wilgotnym piasku.

– Z pewnością – mruknęła Oriana. – Śniłam o niej wiele razy, kiedy Apollo stawiał cię na nogi, ale myślałam, że to tylko stres i przemęczenie.

– Czemu wcześniej mi nie powiedziałaś, *erastria*? – spytała, cofając rękę, którą chciała objąć dziewczynę.

– Och. – Oriana wzruszyła ramionami. – Nie myślałam wówczas, że to takie ważne. Wiesz, skupiłam się na pozytywach. Obie przeżyłyśmy, metaportacja Amelii zakończyła się sukcesem, znalazłam w gabinecie Pejrosa mapy wybrzeża i tę wyspę... – Poklepała dłonią piasek plaży. – Zdarzało mi się wcześniej, że moje sny się sprawdzały, ale wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić. Wiesz, o czym mówię?

– Szczerze? Nie. – Evridaikki zaplotła ramiona wokół kolan, a wzory na jej skórze rozbłysły lekko, przebijając przez cienki materiał chitonu. – Bo widzisz, *erastria*, ja nie śnię. I nie słyszałam, żeby ktokolwiek na Eberrosie śnił. No, może z wyjątkiem bazyleusów. Akkamas wspominała, że pod wpływem Źródła miewa nocne wizje.

– Poważnie? – Oriana uklękła i spojrzała na kochankę, unosząc brwi. – Jak możecie nie śnić?!

– A wy? Jak możecie śnić? – Żołnierka uśmiechnęła się z rezygnacją. – To, co dla ciebie oczywiste, dla mnie jest egzotyczne. I na odwrót. To jak z... jak z pępkiem. Ot, kolejna różnica międzygatunkowa.

Oriana poprawiła sprzączkę od chitonu. Zamknęła oczy, a pod powiekami znów zobaczyła ogniste tęczówki Pani Dróg, żarzące się jak kratery wulkanów gotowych wybuchnąć w każdej chwili.

– Muszę wrócić na Ziemię, *erastria* – powiedziała, otwierając oczy i wysuwając się do przodu, jakby chciała się przytulić do Evridaikki, ale zamarła w pół ruchu.

– Polecę z tobą. Będę cię chronić! – W głosie wojowniczkii brzęczał spiż.

– Nie chcę cię narażać...

– Narażać? Chyba przesadzasz – prychnęła Evridaikki. – Nie zapominaj, że przez kilkadziesiąt poprzednich wcieleń uczyłam się walczyć. Jestem strategą Eberrosu, dowódczynią armii, a ty nie chcesz mnie narażać? Daruj sobie, *erastria*.

– Nie o to mi chodzi! – Ora pocałowała ją krótko, sucho, przepraszająco. – Nie wątpię, że z walką sobie poradzisz. Ale jesteś stąd! Twoje ciało jest stąd! Już na Ziemi miałybyś problemy. Powietrze jest rzadsze, mniej natlenowane. To wystarczy, żebyś nie mogła podnieść się z łóżka przez wiele dni, zanim nauczysz się nim oddychać. A jeśli będę musiała pójść gdzie indziej, to co? Nie wiem nawet, jak zbudowane są inne światy. Byłam tylko tu, na Skoliodoi i na Khooros. Myślisz, że dasz sobie radę na Olimpie? Albo w Atlantis Nesos?

– Czekaj... Ty sobie radzisz. Nie masz żadnych dolegliwości, chodzisz, oddychasz, nawet tu walczyłaś...

– Tak, ale mój organizm działa na eliksirach. A poza tym gdzieś w genach mam jej dziedzictwo. – Machnęła dłonią w stronę morza. – W jakiejś entej części jestem jak Hekate, jak Helios, jak Kirke. To sprawia, że mogę przechodzić przez Korytarze bez szwanku, szybko dostosowuję się do warunków panujących w innych światach. Boję się – ściszyła głos tak, że ledwie przebił się przez szmer fal – że cię stracę w najgłupszy możliwy sposób.

Stratega objęła dziewczynę mocno, zamykając jej szczupłe ciało w wyćwiczonych ramionach, ucałowała jej ucho i szyję.

– Nie utrudniaj mi tego, Ev. Muszę lecieć. Ale wrócę – wyszeptała.

– Wiem, ty zawsze wracasz. – Miodowy alt Evridaikki, choć podszyty goryczą, przebiegł przez ciało Oriany falą przyjemnego dreszczu, rozlewając się ciepłem po podbrzuszu.

Zacisnęła zęby. Ostatnie, czego teraz chciała, to się rozkleić. Delikatnie wyswobodziła się z uścisku żołnierki, kciukiem otarła kąciki oczu, w których zaczęły zbierać się łzy.

Evridaikki pogładziła ją po włosach i wyjęła nóż z cholewy buta.

– Daj rękę – powiedziała łagodnie.

Obie wysunęły ku sobie lewe dłonie. Stratega błyskawicznym ruchem przecięła oba nadgarstki i przyłożyła swój, ociekający niebieską posoką, do ust Oriany, więc chymeiczna zrobiła podobnie. Nawzajem zlizwały krople krwi z ranek.

– Krew z krwi, teraz i na zawsze. – Żółte oczy stratega wbiły się w malachit tęczówek Geberówny.

– Krew z krwi, teraz i na zawsze – powtórzyła Ziemiańska. Ucałowała żołnierkę i wtuliła się w szorstki materiał wojkowego chitonu.

– Kocham cię, Evridaikki. Ale myślę, że teraz Akkamas będzie cię bardziej potrzebować.

– Ja ciebie też kocham, Oriano Geber – odparła, pomijając uwagę Ory milczeniem.

Siedziały tak jeszcze długo, aż Wojownik dotarł niemal do zenitu swojej codziennej wędrówki. W końcu Oriana puściła dłoń kochanki i wstała. Podeszła do łodzi, zastygłej w przechyle kilkadziesiąt kroków dalej. Spod ławeczki na rufie wydostała zawiniątko z rzeczami, chymeiczną torbę, w której pobrzękiwały fiołki eliksirów i przyrządy laboratoryjne, oraz granatowy płaszcz obszyty srebrną nicią i długi miecz. Paski od pakunków przełożyła przez ramię, a broń owinęła płaszczem i wsadziła pod pachę, po czym włożyła prawą rękę w dekolot.

Przebiegła drżącymi palcami po znakach mandali z Apeironu i aktywowała przejście. Korytarz nie przypominał portalu,

raczej rozdarcie w tkaninie Multiwersum, ale pachniał ziemskim morzem, żywicą cedrową i rybami. Oriana wkroczyła w nadciemność, nie oglądając się za siebie.

Amelia nie mogła zasnąć. Oszukiwała się, że to przez upał, ale zaciskająca się na żołądku lodowata pętla mówiła co innego. Zaczęło już świtać, gdy wstała z łóżka, wyciągnęła z dolnej szuflady komody niewielki plecak i zaczęła się pakować. Wepchnęła do środka kilka koszulek, zapasowe spodnie i swoją ulubioną bluzę. Parę buteleczek z płynami wrzuciła do przezroczystej kosmetyczki. Do kieszeni plecaka dorzuciła szkicownik, ołówek automatyczny i pęczek cienkopisów. Wątpiła, czy będzie mogła pracować po drodze, ale obecność znajomych przedmiotów działała na nią kojąco.

Jeśli Hekate myślała, że tylko na Orianę może liczyć, nadszedł czas, by udowodnić jej, że się myliła. Amelia zaczęła formułować plan. No, może szkic planu. Zaczątek. Ale zawsze to jakiś punkt zaczepienia. Oriana, myślała Amy, snuła się gdzieś ze swoją dziewczyną, więc na piechotę jej nie znajdzie. Ale gdyby tak dostać się na Ajaję i tam na nią zaczekać? Zbyt często w przeszłości miewały te same sny, żeby teraz miało być inaczej. Była więc spora szansa, że Ora wróci do domu prędzej niż później.

Dom... Amelia nie mogła się przyzwyczaić do tego rozszczępienia. Wychowana na krakowskim Podgórzu, na dźwięk słowa „dom” wciąż myślała o przedwojennej willi, w której jeszcze do niedawna mieszkała. Florenckie mieszkanie po ojcu, choć jej własne, nie zdążyło póki co stać się niczym więcej niż

tylko miejscem do spania. A jeszcze była Ajaja, w tajemniczy sposób odziedziczona po na wpół mitycznej chymeicznej Kirke.

Amelia przeglądała właśnie rozkład najbliższych lotów do Grecji, zastanawiając się, z którego lotniska będzie miała najbliżej, gdy nagle ją olśniło. Chymeia! Zerwała się na równe nogi i pognęła do łazienki. Zdjęła rozciągnięty T-shirt i przyłożyła palec do wykonanego Apeironem tatuażu. Zamknęła oczy, przywołując wspomnienie marcowych rozmów z siostrą i wyprawy na Skoliodoi, gdzie pochowały ojca. Wydało jej się, że pamięta każdy szczegół, każdy gest i słowo. Chociaż nie znała greki, dźwięki wypowiedane przez Oriane wryły się w jej pamięć dość wyraźnie. Ora wspominała, że przejście najlepiej wyznaczać w miejscu kultu – starożytnej świątyni lub kurhanie, które zwykle wznoszono u wylotów Korytarzy spajających Multiwersum. Amy przejrzała w umyśle mapę Florencji, porównując ją z notatkami do matury z historii sztuki, którą zdawała ledwie rok wcześniej. Duomo... Duomo chyba wzniesiono na ruinach rzymskiej świątyni!

Odkręciła kran i przemyła twarz zimną wodą, aby łatwiej zebrać myśli. Z pewnością było coś, o czym zapomniała. Jakiś element układanki... Spojrzała w oczy swojemu odbiciu, odgarniając mokre niebieskie kosmyki z czoła. Nie miała Adresu.

Poprzednio Ora przyniosła ze sobą jakieś zielsko zerwane na Skoliodoi, żeby Korytarz nie przeniósł ich nigdzie indziej. Ale teraz Amelia nie miała niczego, co pochodziłoby z Ajai. Nigdy wcześniej nie była na wyspie, więc nawet nie umiała jej sobie wyobrazić. A samo pomyślenie jej nazwy wydawało się zbyt słabe, żeby skok w przestrzeni mógł się udać.

Zacisnęła palce na krawędzi umywalki. Czy Oriana nie zostawiła jej czegoś z Ajai? Żadnej pamiątki po Kirke? Amy roztarła

piekące po nieprzespanej nocy oczy. Wróciła do sypialni, otworzyła górną szufladę komody i zaczęła się ubierać. Kiedy sięgnęła po swoje ulubione, wysłużone bojówki, wymacała w ich kieszeni kawałek papieru. Wyjęła go, podejrzewając, że okaże się starym rachunkiem z knajpy lub krakowskim biletem tramwajowym. Złożona na cztery karteczka zawierała jednak notatkę Ory, opisującą rysunek Apeironu. Notatkę, którą przygotowała w marcu, by jak najlepiej odwzorować wzór tatuażu. Notatkę, jak przypominała sobie Amelia, sporządzoną na papierze pochodzącym z biblioteki Kirke! Musiało wystarczyć. Nie mogła liczyć na nic lepszego.

Spojrzała na ekran telefonu. Ledwie dochodziła piąta rano. Odblokowała urządzenie i szybko znalazła stronę parafii Santa Maria del Fiore. Katedrę otwierano dopiero o ósmej, na jutrznię i poranną mszę. Usiadła na brzegu łóżka i odłożyła telefon, który niemal wypadł jej ze zdrętwiałych palców. Żałowała, że nie ma w domu ani jednego papierosa, ale palenie i Mata Żbikowskiego rzuciła mniej więcej w tym samym czasie.

Uspokoiła oddech, przypominając sobie pojedyncze lekcje jogi, na których bywała. Wstała, walcząc z uginającymi się pod nią kolanami i powoli przeszła do kuchni. Nastawiła kawę i oparła się o blat, obserwując niebo za oknem, nabierające koloru tokańskiego błękitu. Przeczesała palcami włosy, do niedawna również błękitne, teraz szarzące i rozczochrane. Trzeba będzie zmienić kolor, jak znajdzie po drodze farbę i przyzwoitą łazienkę.

Ujęła filiżankę w obie dłonie i przyłożyła usta do powierzchni gorącego napoju. Upiła łyk. Gorycz czarnej kawy obudziła ją mocniej niż sama kofeina, a ciepło niesione przez płyn rozeszło się przyjemną falą po całym ciele, wypierając odrętwienie.

Amy odetchnęła głębiej i nawet się rozluźniła. Wreszcie odsta-
wiła puste naczynie. Chcąc zająć czymś myśli, wzięła porzu-
cony na fotelu tablet i wróciła do uzupełniania projektu karty
Śmierci. Przerywała co chwilę, patrząc na telefon, ale wciąż
wracała do rysowania lotek w jego skrzydłach, zanim nie do-
trwała do siódmej dwadzieścia.

Nie mogąc dłużej usiedzieć w miejscu, wzięła plecak, za-
sznurowała glany, nieodpowiednie do pogody, ale doskonale na-
dające się na niebezpieczną wyprawę, i wyszła w lekkie ciepło
poranka. Ruszyła piechotą, modląc się w duchu do wszystkich
bogów oraz tych, którzy tylko uzurpowali sobie boski status,
żeby operacja się udała. Przecinając Piazza Santo Spirito, za-
częła mimowolnie wyliczać, co może pójść nie tak i momen-
talnie nabrała ochoty, by zawrócić, zamknąć się w łazience i nie
wychodzić stamtąd, dopóki Oriana nie załatwi całej sprawy.
Mijając knajpę, w której pracował jej znajomy Somalijczyk,
uśmiechnęła się i skinęła głową pustej, ciemnej witrynie.
Przeszła Ponte Santa Trinita na drugi brzeg Arno, lśniącego zie-
lonkawym blaskiem w porannym słońcu i zanurzyła się w ci-
chych uliczkach starego miasta. Sprawiedliwość z kolumny
patrzyła na nią obojętnymi kamiennymi oczami. Amy poka-
zała rzeźbie środkowy palec. Po śmierci ojca przestała wierzyć
w sprawiedliwość.

Skręciła za róg, a następnie odbiła w Via Roma, lawirując
między wystawionymi przed bramami kamienic kublami ze
śmieciami. Obojętnie minęła wyłączoną teraz karuzelę na
Piazza della Repubblica i w końcu dotarła do Duomo.

Widywała florencką katedrę wielokrotnie, ale nie mogła
przywyknąć do tej masy biało-kolorowego kamienia wyłania-
jącej się niespodzianie spomiędzy kamienic i pałacików. Wokół

baptysterium kręcili się już pierwsi turyści, kelnerzy z kawiarni okalających kościół rozstawiali krzesła i stoliki ogródków, szurając metalicznie. Gruchały gołębie, gdzieś dalej przekrzykiwali się pilnujący katedry policjanci. Amy odetchnęła głęboko i zaraz tego pożałowała, wyczuwając wyraźny smród gnoju, pozostawionego przez dorożkarskie konie. Wymruczała przekleństwo i ruszyła wzdłuż kościoła, kierując się do wejścia dla wiernych. Strażnik w kruchcie pokręcił głową, widząc jej plecak, ale upewniła go w najczystszy tokańskim dialekcie, że nie jest turystką.

Wnętrze było niemal puste. Odprawiana w bocznej kaplicy liturgia przyciągnęła kilka staruszek, które mieszkaly jeszcze w parafii, zamiast wyprowadzić się razem z wnukami pod miasto, do nowych domów. Amelia przyklękła odruchowo i przeszła do ostatniej ławki, przytulonej do potężnego filaru podtrzymującego boczną nawę. Przepowiadając bezgłośnie grecką formułę, oparła się o kolumnę. Niepewna, co zrobić z karteczką, która miała posłużyć jej za Adres, miała ją w kieszeni spodni.

Chyba właśnie skończyła się jutrznia. Ksiądz pobłogosławił wiernych i schował się w zakrystii. Kilka osób wyszło, ale więcej weszło na poranną mszę. Amy uklękła za ostatnią ławką, chcąc jak najmniej rzucać się w oczy. Nie mogąc wymyślić nic lepszego, wsunęła strzęp papieru do ust i przesunęła go pod policzek. Złożyła ręce, dyskretnie przykładając palce szybko potniejących dłoni do tatuażu pod obojczykiem, i aktywowała Apeiron. Przez chwilę nie działo się nic. Odetchnęła i żując papier, zaczęła powtarzać formułę aktywacji. Nagle ławka przed nią pociemniała, jakby ktoś położył na niej doskonałe czarną zasłonę. Szczelina w tkaninie Multiwersum zawisła

przed dziewczyną, skrząc się delikatnie. Amelia rozejrzała się. Nikt na nią nie patrzył. Nikt, z wyjątkiem Chrystusa na krucyfiksie. Uniosła się na jedno kolano i runęła głową w dół, prosto w otwierającą się przed nią metaprzeźnię.

Nigdy nie robiła tego sama. Oriana przeprowadziła ją Korytarzem tylko dwa razy, na Skoliodoi i z powrotem. Wówczas Amy czuła lekki dyskomfort. Teraz miała wrażenie, jakby Wieloświat usiłował rozerwać jej ciało, zawieszane pomiędzy poszczególnymi kosmosami. Ból rwący stawy i kości odbierał przytomność, wytlaczał powietrze z płuc, palił żywym ogniem. Chciała umrzeć, poddać się nadciemności, dać się pochłonąć. Ale przeżyła.

Uderzyła o twarde podłoże. Resztką świadomości poczuła zmianę otoczenia. Woskowo-kadzidlany zapach ustąpił morskiej bryzie, szeptane modlitwy zostały wyparte przez skrzeczenie mew.

– Amy?! Kurwa mać, Amy, odezwij się! – Krzyk, szarpnięcie, przewrót na plecy. Jasne niebo uderzyło ją w oczy jaskrawym lazurem. – Masz, wypij to!

Wprawne palce rozchyliły jej wargi, ramię lekko uniosło głowę Amelii, a ziołowy, palący płyn popłynął w dół gardła, drażniąc podniebienie. Zakrztusiła się, ale oprzytomniała. Uniosła się na czworaki i wykaszła przesiąkniętą śliną oraz chymeicznym eliksirem karteczkę.

– Co to jest?! Co ty wyprawiasz?! – Oriana przyklęka przy siostrze bliźniacze i podtrzymała ją przed ponownym upadkiem.

– Adres – wycharczała Amelia. Podniosła powoli głowę i spojrzała w malachitowe oczy, identyczne z jej własnymi, osadzone w identycznej z jej własną twarzą. Gdyby nie blond włosy i brak tatuaży, założyłaby się, że patrzy w lustro. – Dobrze cię widzieć, sis.

Podziękowania

Podróż w nieznane światy w towarzystwie Oriany i Amelii nie byłaby możliwa, gdyby nie wsparcie wielu spośród Was. Niektórych znam osobiście i miałem przyjemność podziękować Wam bezpośrednio, innych nigdy nie spotkałem na swojej drodze – a jednak postanowiliście pomóc mi wydać tę książkę. Cieszę się, że losy siostr Geber zainteresowały Was na tyle, że zdecydowaliście się przeznaczyć Wasz czas i pieniądze na powstanie drugiej części.

Dziękuję (w kolejności losowej) Paulinie i Johannowi Modelom, Basi i Konradowi Świadkom, Mateuszowi Rosickiemu, Janowi i Marcie Olesiom, Oli Szostak, Ewie Kowcz, Ani i Andrzejowi Żurkom, Ani Kolman, Ani Sułek, Łukaszowi Krawcowi, Marcie Szybor, Antoniemu i Elizie Ligęzom, Beacie Gatyńskiej, Maciejowi Negreyowi, Karolowi Borsukowi, Katarzynie Fus, Pawłowi Glimosowi i Agacie Lipińskiej, Magdalenie i Bartoszowi Amroziewiczom, Grzegorzowi Woźniakowi, Agnieszce Pawnik, niezidentyfikowanym przeze mnie Internaut(k)om: Dagonet, Czytelniczce, Boggie Boggie, oraz – na końcu, lecz nie na ostatku – moim Najbliższym. Żonie Agnieszce, rodzicom: Mirandzie i Lucjanowi, siostrze Alicji, szwagierce Agacie, babci Marii, cioci Uli, Ewie i Zofii Bielańskim.

Nie mogę nie wspomnieć również o Marcie Mareckiej-Butkiewicz, która tę książkę zredagowała, wydawczyni Katarzynie Krzan, znoszącej moje nietypowe prośby i częstsze

niż norma przewiduje telefony oraz Marcelinie Gajdzie, której kreatywność nadała tej powieści graficzną oprawę.

Podobno pisarstwo jest zajęciem samotniczym. Pozornie rzeczywiście tak jest – przez większość czasu to zmaganie jednego człowieka z pustką na kartce papieru. Ale tekst zyskuje prawdziwe znaczenie dopiero w Waszych rękach, Drogie Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy. A czas, który poświęćcie na lekturę mojej książki, wspólne rozmowy o literaturze, wymienianie się uwagami i konstruktywną krytykę, jest dla mnie najlepszą szkołą i najwspanialszą nagrodą, jaką mogłem sobie wymarzyć.

Z całego serca dziękuję!

Kamil Exner

Kraków, sierpień 2023

Spis treści

Prolog	5
I	8
II	24
III	50
IV	69
V	87
VI	114
VII	133
VIII	155
IX	174
X	195
XI	225
Podziękowania	231